

Dobry konkretny krok

Dokładnie w pięć miesięcy po IV Zjeździe toczyły się obrady II Plenum Komitetu Centralnego PZPR. Pięć miesięcy, dzielące oba wydarzenia, były okresem, w ciągu którego fabryczne załogi, inspirowane przez organizacje partyjne, podjęły wysiłek przeniesienia na swoje podwórko i przemieszczenia do swoich warunków — postanowień uchwały IV Zjazdu. Wkroczyliśmy tym samym na etap praktyczny, szczegółowego i kompleksowego realizowania wskazań IV Zjazdu partii.

Myślę, że jest to stosowny moment, by zdać sobie sprawę z szeregu nowych elementów, jakie zarysowały się wyraziście na firmamencie naszego życia społecznego i gospodarczego. Zaczniemy od stwierdzenia, iż nienowa tematyka gospodarcza, dominująca w dyskusji przedzjazdowej oraz w obecnej działalności partyjnego i bezpartyjnego aktywu — ujmowana jest inaczej. Zainicjowana przez partię szeroka, wzajemna konsultacja partii z masami pracującymi — nie ma nic wspólnego z fasadowymi celami. Tu rzeczywistość chodzą i chodzi o pobudzenie inicjatywy robotników, inżynierów, techników i ekonomistów — dla wykorzystania wszelkich rezerw dobrego gospodarowania. Chodzi o chodzą i chodzą o ukształtowanie się aktywnej, socjalistycznej postawy załóg i skoncentrowanie ich uwagi na sprawach decydujących dla przedsiębiorstw oraz interesu społecznego.

Praktyka ostatnich miesięcy potwierdza, iż nowa metoda szerokiej konsultacji, aktywizacja całych środowisk pracowniczych — daje bardzo dobre rezultaty i w zakresie ujawniania rezerw produkcyjnych, i w zakresie urealniania planów. Rezerwy — określenie, przejęte z terminologii wojskowej, zrobiło ostatnio karierę. Załogi zachęcane do przejawiania inicjatywy, podjęły ambitne współzawodnictwo, polegające na zgłaszaniu dostrzeganych u siebie dodatkowych możliwości produkcyjnych.

Tymi rezerwami, jak wykazuje praktyka, bywają na ogół nie w pełni wykorzystane hale produkcyjne, bądź maszyny, albo tzw. moce produkcyjne (np. zakład, wytwarzający potrzebne artykuły, pracuje tylko na jedną zmianę). Częstość załóg wskazuje na rezerwy w zakresie jakości, bądź nowoczesności wyrobów; podejmują się dokonania na tym polu zasadniczego postępu, po uzyskaniu drobnych, nieznacznych nakładów finansowych. Niektóre propozycje fabrycznych organizacji partyjnych i samorządów robotniczych odnoszą się do rezerw typu inwestycyjnego. Nie brak na przykład projektów zastąpienia kosztownych, planowanych uprzednio, przedsięwzięć budowlanych — odpowiednią adaptacją istniejących obiektów. Zamiast wznoszenia nowego magazynu dla dwu nie odległych zakładów przemysłowych — proponuje się np. postawienie jednego, zdecydowanie tańszego. Sporo jest wreszcie propozycji, popartych wyliczeniami, analizami i fachowymi opiniami, dotyczących unowocześnienia technologii wytwarzania poprzez specjalizację zakładów przemysłowych, koncentrowanie wytwórczości niektórych towarów w wybranych przedsiębiorstwach, czy wreszcie ujednolicenia, unifikowania części bądź całości wyrobów.

Postuluje się uzyskanie tymi drogami dodatkowych efektów produkcyjnych.

Eugeniusz Paukszt

Fajerwerk

Nie mógł znaleźć sobie miejsca. Cały ranek mijał się z kąta w kąt, przekładał rzeczy, próbował się pakować, zaprzestał pchnąć pod łóżko wypchany tobołek. Nie będzie się tak od razu wystraszał, nie jest jeszcze nie stało, mógł to być zwykły przypadek.

Jednak coś mu nakazywało ostrożność, niepokój nieustannie narastał. Wychodził przed młyn, dalej od rumoru spadającej upustem wody, więcej dla symbolu teraz, niż dla potrzeby, skoro zarna prąd poruszał, patrzył w kierunku miasta, nasłuchiwał. Dawno minęło południe, słońce zniżało się pod zachód, ustała duszna panność w powietrzu, podniósł się wiaterek, podmuchami łagodząc u przednią spiekotę. Wraz z podmu-

Fala wysokiej aktywności załóg, ambitnie współzawodniczących o miano gospodarnych, przyniosła już w okresie poprzedzającym czerwcowy Zjazd partii nieznaną w powojennym dwudziestolecu bogactwo rzetelnie przemysłanych propozycji; nacechowane są one troską o społeczne dobro i socjalistyczny rozwój kraju. Dalsze wysiłki załóg, oparte obecnie na zjazdowej uchwale, przybrać powinny jeszcze bardziej skonkretyzowane kształty. Stworzy to podstawę dla twórczej konfrontacji centralnych założeń planu na rok przyszły i lata następne — z faktycznymi możliwościami załóg, a zarazem ich potrzebami kadrowymi, inwestycyjnymi i wyposażeniowymi załóg. Być może, iż jeszcze tu czy tam nie wykorzystano do końca partykularyzm powstrzymał to lub inne środowisko pracownicze od pełnego ujawnienia wszystkich rezerw; „na wszelki przypadek” tu czy tam żąda się jeszcze inwestycji ponad niezbędne potrzeby. Generalnie jednak rzecz biorąc, dokonano się w ostatnich miesiącach wielkie dzieło: władze centralne, a przede wszystkim same załogi — zyskały szeroki obraz realnych możliwości produkcji tysięcy wielkich i małych zakładów oraz dokładny rejestr braków, wymagających bezwzględnie usunięcia.

Ale nowa metoda wyszukiwania rezerw produkcyjnych, dzięki której wiadomo już dzisiaj, że w najbliższych latach zdołamy — przy tych samych środkach — wyprodukować więcej i więcej zbudować, to dopiero pierwsza, wstępna część ogromnej, ogólnospołecznej roboty. Obecnie chodzi o to — i to jest drugie ważne novum naszego życia społeczno-gospodarczego, by po nowemu planować.

Termin „planowanie” uległ u nas z biegiem lat poważnej deprecjacji. Otóż właśnie w planowaniu zanosi się na radykalne zmiany. Obecnie po raz pierwszy plany powstają w toku konfrontacji ogólnopolskich potrzeb rozwojowych z realnymi możliwościami poszczególnych przedsiębiorstw: przemysłowych, budowlanych, komunalnych, transportowych.

Wydaje się, iż zrozumienie nieodzowności owego odwoływania się do załóg, do ich rzetelnego zaangażowania i wszechstronnej znajomości spraw własnego podwórka, staje się powszechne. Nowa metoda planowania przewiduje na pierwszym etapie centralne opracowanie wstępnych założeń, następnie dyskusowanie owych wskazań przez załogi i ewentualne przedkładać z ich strony własnych propozycji planowych, na koniec weryfikowanie owych propozycji w skali kraju — dla ustalenia ostatecznego kształtu planu ogólnopolskiego.

Istotne jest i to, że samorządy robotnicze opracowują obecnie (w podobnym zresztą trybie mają działać przedziały rad narodowych) kilka wariantów planu, by stworzyć możliwość wyboru optymalnie korzystnego rozwiązania.

Omówione nowe elementy naszego życia społeczno-gospodarczego, potwierdzone ostatnio uchwałą II Plenum KC partii, mają, obok bardzo wielkiego znaczenia gospodarczego, równie ważne znaczenie polityczne, ustrojowe: oto wcielana jest w życie w sposób coraz pełniejszy idea rozszerzania demokracji robotniczej.

„Dobrym, konkretnym krokiem” — określił Władysław Gomułka dorobek II Plenum. Na pewno nastąpią dalsze.

tygodnia

DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 164

6. XII. 1964

Rok IV

„Bez inicjatywy ani rusz” tak nazwaliśmy naszą długofalową akcję publicystyczną, rozpoczęła przeszło rok temu. Miała ona na celu pokazanie społeczeństwu tego wielkiego wysiłku, tych różnorodnych inicjatyw i ciekawych pomysłów, jakie ujawniają się przy realizacji czynów społecznych. Każdemu powiatowi (także dzielnicom Poznania) poświęciliśmy całą kolumnę. Teraz — na zakończenie akcji i dla jej podsumowania rozmawiamy z przewodniczącym Prezydium WRN w Poznaniu Franciszkiem Szczerbałem.

— Jak Pan Przewodniczący ocenia inicjatywę społeczną przejawianą przez mieszkańców naszego województwa w XX-lecie Polski Ludowej? Które dziedziny naszego życia szczególnie są nasycone czynami społecznymi i gdzie przyniosły one największe efekty?

— Czynny społeczny, to obywatelska pomoc i współpraca społeczeństwa w realizowaniu ważnych zadań gospodarczych i socjalno-kulturalnych. Stały się one czynnikiem pomnażającym środki państwowe i jednocześnie wzbogacającym nasz region w trwałe, nowe wartości. Mają one w Poznaniu bogatą tradycję. Właśnie tutaj zrodziła się przed 12 laty inicjatywa pierwszych zorganizowanych czynów społecznych: drogowych i melioracyjnych. Od tego czasu ogólna wartość czynów społecznych w naszym województwie rosła co roku. W 1962 roku wyniosła np. (bez Poznania) — 208 milionów złotych, w 1963 r. — 280, a rok bieżący, rok szczególnej ofiarności społeczeństwa województwa poznańskiego w czynach podejmowanych dla uczczenia XX-lecia Polski Ludowej i IV Zjazdu partii — zamknie się, jak przewidujemy, wartością 415 milionów złotych.

Największe wyniki osiągnięto w społecznym czynie drogowym. Mimo że województwo nasze ma stosunkowo dobrą sieć dróg kołowych, jednak ze względu na systematycznie wzrastającą mechanizację rolnictwa wciąż jeszcze istnieje potrzeba umacniania i ulepszania dróg lokalnych oraz budowania nowych o twardą nawierzchnię. Jest to realnie odczuwana potrzeba wsi wielkopolskiej. Nic więc dziwnego, że np. w 1963 roku społeczny czyn drogowy osiągnął około 65 procent ogólnej wartości czynów społecznych zrealizowanych w tym roku. Przeważa w tym zakresie powiaty Szamotuły, Poznań, Kalisz, Koło, Konin i sze reg innych.

Inicjatywy drogowe wprawdzie dominują w naszym województwie, ale mamy i poważne wyniki w zakresie gospodarki komunalnej, oświaty i straży pożarnej. W gospodarce komunalnej w 1963 roku najlepsze efekty uzyskały powiaty: Rawicz, Gostyń, Jarocin oraz miasta Piła i Kalisz, a w czynach świadczonych na rzecz oświaty powiaty: Ostrzeszów, Konin, Nowy Tomisz, Gostyń.

Czynny społeczny ochrony przeciwpożarowej obejmował przede wszystkim budowę strażnic i przeciwpożarowych zbiorników wodnych. W tym zakresie szczególnie cenne inicjatywy i wyniki osiągnięto w powiatach: Leszno, Turek, Koło, Konin i Kalisz.

— A teraz może odwrotna strona medalu: czy można wskazać dziedziny, w których realizuje się mało czynów społecznych, mimo że istnieje ich duża potrzeba?

— Istotnie, czyny społeczne nie przebiegają jednako we wszystkich dziedzinach naszej gospodarki i nie we wszystkich powiatach ich znaczenie doceniane jest w równej mierze. W zakresie służby zdrowia, kultury, kultury fizycznej oraz rolnictwa nie są tak doceniane jak w zakresie dróg, oświaty czy ochrony przeciwpożarowej, stąd i efekty są znacznie mniejsze. A przecież istnieje dużo potrzeb w tych dziedzinach — wymienię tu choćby potrzebę budowy i rozbudowy ośrodków zdrowia na wsiach, świetlic, domów kultury, boisk sportowych itp.

Nie znaczy to, że w tym zakresie nie osiągnięto żadnych efektów — jednak stopień społecznego zaangażowania się w tego rodzaju czynach jest jeszcze niski. Duże różnice obserwuje się przy realizacji czynów w poszczególnych powiatach. I tak np. jeśli wartość czy-

otrzymać parę woreczków pszennej dla siebie, na handel, głową rzucił, zapytał przeciągle:

— Ze co?

Nabiedził się wtedy, by obrócić swe słowa w nieporozumienie. Niby wyszło, ale był pewien, że Marcinek i tak mu nie uwierzył. Chwała Bogu, że teraz ich nie ma, denerwowaliby samym swoim widokiem.

Zagryził wargi. Bo w ogóle to trzeba się zastanowić. Jeszcze nic się nie

Fragment powieści p. t. „Przejaśnia się niebo”, która ukaże się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego. Powieść składa się z dwóch części — „Zabite miasto” — akcja w roku 1945/6 i „Kwiaty na pogrzebie”, z lat 1962/3 — zamieszczony fragment pochodzi z części pierwszej. Za tydzień dokończenie.

stało, ale to był sygnał, którego nie można zlekceważyć. Że to, cholera, dopiero teraz. Wtedy, zanim wynikła afera z Wehrwolfem... Dopieroż się strachu najadł, ani chybi, wydobyli by w śledztwie jego współzłodźcą, na szczęście udało się przysnąć chłopakom, choć podobno na granicy porozumienia ich wszystkich... Wtedy w tedy. Byłoby proste. On zostałby

górą. Wskazałby faceta, sprzątnęliby go cichutko i kołce w wodę. Ale teraz ich nie ma. Nie ma nerwów z przydziałami maki, coraz wzrastającymi, z grubą lewizną, ale i nie ma zapachu. Związać się, gdzie indziej zaczynać od nowa? Nie, nie, przemyśleć jeszcze, odczekać, może fałszywy ogień. Ta broda pomaga, inne uczesanie, na pewno to myli...

Więc jeszcze raz, od początku...

Wczoraj pod wieczór, diabli go ponieśli na to uroczyste posiedzenie nowo powstającej rady narodowej, aka demii rocznicowej zarazem. Ludził się do ostatka że i jego wybiora. Psia mać, co by nie powiedział, muszą mieć nosa. Różnych petaków, choćby tego Feryckiego, porobili radnymi, a jego nie. Nawet Wiktora. Śmiesznie to brzmiało, gdy starosta oznajmiał, że Wiktor Środa, autochton tej ziemi, ostatni Mohikanin, bastion polskości na dalekiej rubieżu... Gadać to oni umieją. Bastion, rubież i Wiktor Śro-

bez inicjatywy ani rusz!

Drugi plan inwestycyjny

Wywiad z Franciszkiem Szczerbałem — przewodniczącym Prezydium WRN

nów społecznych przeliczona w złotychkach na 1 mieszkańca w ciągu 1963 roku wynosiła w powiecie Szamotuły — 245 zł, w powiecie Ostrzeszów — 224 zł, w pow. Kalisz — 168 zł, w pow. Gostyń — 163 zł, to w powiecie Chodzież tylko 97 zł, a w pow. Pleszew — 93 zł.

— Co Pan Przewodniczący sądzi w ogóle o roli czynów społecznych i inicjatyw mieszkańców dla postępu w naszym życiu?

— Mówi się o czynach społecznych, że są one drugim planem inwestycyjnym naszego województwa. I rzeczywiście. Jeśli wspomnimy choćby te 415 milionów złotych nowych wartości, które ludność naszego województwa daje w 1964 r., to staje się oczywiste, że społeczny wysiłek Wielkopolan, dzięki któremu powstają nowe drogi, nowe szkoły, przedszkola, wodociągi, zieleńce i inne wartościowe urządzenia zasługuje w pełni na uznanie.

Pozwala to wykonać w miastach i wsiach wiele obiektów i urządzeń jak najbardziej społecznie potrzebnych, pozwala przyspieszyć rozwój naszego województwa, uzupełnia wysiłek inwestycyjny państwa. Dzięki tym społecznym wysiłkom budujemy więcej aniżeli to przewidują nasze plany inwestycyjne, wzrasta tempo poprawy ogólnych warunków życia mieszkańców Wielkopolski. W podejmowanych i realizowanych czynach kryje się przede wszystkim wykładnik patriotycznej, obywatelskiej i społecznej postawy mieszkańców Ziemi Poznańskiej, wyraża się pełne poparcie i zrozumienie wielkopolskiego społeczeństwa dla programu rozwoju naszego kraju, postawionego przed narodem przez Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą.

— „Głos Wielkopolski” zakończył właśnie druk kolumny pt. „Bez inicjatywy ani rusz”, w których zaprezentował działalność wszystkich powiatów i dzielnic Poznania na omawianym polu. Czy zechciałby Pan Przewodniczący podzielić się swoimi uwagami na temat tej akcji?

— Cyklem „Bez inicjatywy ani rusz” redakcja wykonała kawał dobrej roboty. Wydaje mi się, że odbiliście na swych łamach braki w pokazywaniu ludzi i spraw tzw. terenu. A przecież w naszym województwie, województwie stu miast, 408 gromad i 29 powiatów jest wielu interesujących, pełnych inicjatyw ludzi, umiających swym zapałem porwać innych do pożytecznej pracy, której efekty służą społeczeństwu wielkopolskich miast i wsi. Jest wiele spraw czekających na rozwiązanie. Pisanie o inicjatywach, doświadczeniach i wynikach pracy tysięcy skromnych niejednokrotnie działaczy społecznych, robotników, rolników, pracowników umysłowych, inżynierów i nauczycieli przyczynia się do upowszechnienia wielu ciekawych pomysłów, nowatorskich metod pracy, czy dobrych doświadczeń.

Jedną tylko nasuwa mi się uwaga. W waszych artykułach, których na pewno jeszcze wiele na ten temat będziecie pisać, należałoby uwzględnić również bogaty dorobek, jaki w zakresie czynów społecznych posiadają komitety Frontu Jedności Narodu. Mobilizacyjna rola tych komitetów, których działalność leży u podstaw ogromnej większości czynów podejmowanych i realizowanych w naszym województwie, posiada poważne znaczenie i nie wolno nam o niej zapominać.

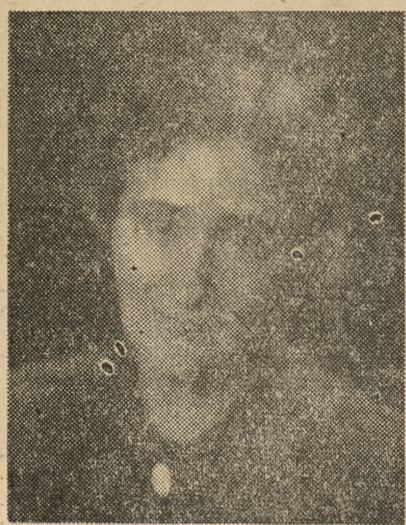
A na koniec chciałbym stwierdzić, że trafny tytuł cyklu waszych publikacji „Bez inicjatywy ani rusz” obowiązuje chyba nadal. Czekamy więc na Waszą następną, równie cenną i pożyteczną inicjatywę.

Rozmawiał: MIECZYSLAW SKAPSKI

da! Z jakim to fasonem stawiają zrebry, także tak mówią, tej swojej Polki. Niechby stawiali, ale żeby i człowiekowi dali spokój.

Fetę jednakże zrobili. Nawet mądre połączyli jedno z drugim. Że niby z pierwszą rocznicą PKWN, Wyzwolenia, zarazem i u nich tutaj, po paru zaledwie miesiącach pionierskiej pracy, następują akty porządkujące, usuwające najpierzszą prowizorkę. Powołane zostaną ciała zbiorowe, osobno wydziela się zarząd miasta z prezydentem czy tam burmistrzem na czele, osobno radę narodową dla całego powiatu, którym nadal będzie kierował starosta Zielniak... Dwudziestu radnych dla miasta, tyle samo na powiat. Któż to nie wszedł do jednej czy drugiej rady? Właśnie większość z tych pierwszych. Bo przecież i Jezierski z kolei i Przybyła, ten, który uruchamiał elektrownię, a teraz szarogęsi się w niej jako dyrektor. Nawet ten maciwoda, petak Ferycki, jako przedstawiciel młodzieży... I jako rodzynek, Józef Środa... Lisiewicz zrobił bur-

Dokończenie na str. 2



Jest autorką 36 tomików poezji lirycznej, wierszy dla dzieci, fraszek, dramatów i prozy wspomnieniowej. Dała naszej literaturze kilkanaście książek przekładów z piśmiennictwa obcego. Już obecnie zaliczana jest do klasyków poezji polskiej. Wybór z jej wierszy

ukazał się niedawno jako piąty wybór po wojnie w „celofanowej serii” najznakomitszych poetów stulecia. Pierwszym wierszem zadebiutowała równo przed 60 laty w 1904 roku w „Tygodniku Ilustrowanym”, pierwszy tomik poetycki pt. „Ikarowe loty” wydała w 1912 roku. Praca literacka przyniosła Iłłakowiczównie dziesiątki odznaczeń, nagród i wyróżnień. Jest laureatką nagrody literackiej Wilna (1930 r.), Państwowej Nagrody Literackiej (1935 r.), Nagrody PEN-klubu (1954 r.) i Nagrody Literackiej Poznania (1957 r.). Znakomita pisarka nie lubi jednak mówić o literaturze; w ogóle nie lubi wywiadów, ostentacji i holdów. Z Kazimierą Iłłakowiczówną rozmawiamy przeto tylko pobieżnie o literaturze, a po trosze o wszystkim — o Poznaniu, o młodzieży literackiej, o teatrze i o ulubionych jej książkach.

— Przez 60 lat swej pięknej i tak różnorodnej twórczości nie czuła się Pani nigdy zawodową pisarką. Czy uważa Pani nadawcą twórczości swą za sprawę wyłącznie osobistą, za najprzyjemniejszy margines życia, za jego ozdobę?

— Nigdy od dzieciństwa — mówi Iłłakowiczówna — nie myślałam o pisarstwie jako o pracy zarobkowej, tj. zawodowej. Nie wchodziło to ani

u moich wychowawców, ani u mnie w rachubę. Tak też już zostało aż do powrotu do kraju w 1947 r. w grudniu. Dopiero, kiedy okazało się, że nie znajdzie żadnej pracy nowej, a do swojej ostatniej w MSZ nie będę mogła powrócić, zaczęłam traktować pisarstwo jako zawód, tj. źródło zarobku.

Marginesem życia, jeśli pan chce, jego ozdobą, było dla mnie pisarstwo w czasie I wojny światowej i potem aż do 1939 roku. W tych okresach miałam pasjonujący, określony zawód: w czasie wojny byłam siostrą miłosierdzia przy wojsku rosyjskim, od 1918 r. zaś aż do II wojny światowej — urzędnikiem. Obie te prace pełniłam z wielkimi wysiłkami i równym im zamilowaniem. Pisałam — raczej chyłkiem i absolutnie nie „zawodowo”. Oczywiście nie można oderwać pisarstwa od życia codziennego ani od życia publicznego. Z chwilą, kiedy się drukuje, wychodzi się z kręgu prywatnego wprost na ulicę, opuszcza się życie osobiste.

— Czy zdaniem Pani, pisarstwo jest w ogóle pracą?

— Między pracą a rozrywką bywa — jeśli chodzi o pisarstwo — dość duże pokrewieństwo. Oczywiście, ciężką pracą jest wszelkie tłumaczenie.

— Ale i ono może być zapewne przyjemnością. Inaczej nie mielibyśmy chyba tak pięknych przekładów?

— Pracę przekładową uważałam zawsze za coś upokarzającego i brałam się do niej wyłącznie z potrzeby i pod wielkim przymusem. Skoro jednak się już jej podejmowałam, starałam się dać coś solidnego. Rozrywkowa i z dobrą woli była u mnie tylko Emily Dickinson, amerykańska poetka sprzed z górą stu lat, którą masowo przetłumaczyłam owej okropnej zimy, kiedy w Poznaniu wszystko naraz wysiadło: teatry, kina, oświetlenie, restauracje, opał. Nic nie pozostawało, tylko ją tłumaczyć, a tłumaczyć. A napisała 1775 sztuk wierszy.

— A własnej twórczości nie zaniedbuje Pani chyba? Po wojnie poznałam Pani książkę. Czy można spodziewać się dalszych?

— Mam i tom prozy, i tom poezji, i tomik rzeczy scenicznych oraz tom tłumaczeń poezji z kilku języków, a nawet całą tłumaczoną z rosyjskiego powieść popularną. Cóż — kiedy wydanie tego wszystkiego zależy nie ode mnie.

— We wspomnieniach drukowanych częściowo przed paru laty w „Twórczości” i w wystąpieniach na jednym ze zjazdów literatów dała się Pani poznać jako obrończyni młodzieży literackiej i debiutantów, przeciwniczka podziału na literaturę starych i młodych, nieprawdaż?

— Nigdy nie rozumiałam różnicy „zawodowej” pomiędzy starszymi a młodszyimi pisarzami. Przecież niekiedy największy, najlepszy rozwój i rozmach zdarza się w młodości. Nigdy nie należałam do Związku Literatów. Kiedy mnie do niego zapisało po wojnie (ponieważ miał to oddać być może zawód) nie mogłam się przyzwyczaić ani do „sekcji”, ani do „kół młodych”. Ten podział był dla mnie zupełnie sztuczny, zubożający obie strony. Już byłabym naprawdę wolała podział na brunetów i blondynów; sensu byłoby równie mało, a ludzie by się lepiej przemieszali.

— Czy można zapytać, co Pani — poetka zaliczana już za życia do klasyków — sądzi o naszych młodych poetach, o ich szansach?

— Poezja jest jedną z ważnych rzeczy, ale nie najważniejszą, w życiu narodu. Minał czas, kiedy prowadzili narodu bywali poeci, pisarze w ogóle. To dawne dzieje. Dlatego zdaje mi się, że początkująca w tej chwili generacja poetów raczej będzie pomyślność swoją ćwiczyła w dziedzinach bardziej praktycznych, a sięgała do pisarstwa poetyckiego tylko w jakichś chwilach osobliwych. To poetów tylko wzbogaca.

— Jest Pani — autorką sztuk scenicznych i przekładów dramatów Schillera i Goethego. Chcielibyśmy dowiedzieć się, czy zadowolona była Pani z wystawienia jej sztuki w Poznaniu?

— Wystawienie „Ziemie rozdartej” to była dla mnie olbrzymia radość, której Poznaniowi nigdy nie zapomnę, mimo że zupełnie inaczej to wyszło niż się spodziewałam. Najbardziej mi się tu podobało, bo najokładniej oddali moje intencje, Hieronim Konieczka i nieżyjący już Kazimierz Przysiański.

— W Poznaniu mieszka Pani od 1948 roku. Czy stało się to z przypadku, czy z wyboru. Jaki ma Pani stosunek do naszego miasta, czy lubi Pani Poznań i poznaniaków?

— Do Poznania trafiłam przypadkiem po powrocie do kraju, kiedy nie miałam posady, ani gdzie się podziąć, a tutaj zaproponowano mi miejsce sekretarki oraz pokój w hotelu należącym do znajomych. Posada nie udała, hotel przejęło miasto, ale ja zostałam.

— Poznań i Poznańskie zawsze mi bardziej odpowiadały, niż inne „dzielnice”. Lubie język tutejszy, pełen staropolskich zwrotów, tutejszą grzeczność, praktyczną i trzeźwą. Przepadam za rogalmi świętomarcińskimi, za rurami w okresie procesji, za Pegazem na Operze i Mickiewiczem przed Uniwersyteciem.

— Na zakończenie, pytanie całkiem już niedyskretnie, ale chcielibyśmy wiedzieć jakie książki w tym roku najbardziej się Pani podobały?

— Jestem pod wrażeniem przepięknej powieści Andrzeja Brauna „Zdobycie nieba”. Jaka szkoda, że — zapewne dla oszczędności papieru — skrócono ogromny tekst ciasno i nieprzejrzyście. Teraz oderwać się nie mogę od siedemset stronicowej książki „Sukces pokolenia”, która zawiera szereg — podobno autentycznych — pamiętników. Istotnie, czytanie to olbrzymi wysiłek... Gdyby takie piękne i mądre rzeczy można było wchłaniać przez zastrzyk dożylny.

Rozmawiał:
OLGIERD BŁAŻEWICZ

Fajerwerk

Dokończenie ze str. 1

mistrzem. Ciekawe, skąd taki pomysł? Może im nie pasował w milicji? Choć niby starał się, dawał radę, poradził sobie z Wehrwolfem. Ech, durnie, wielkich Niemiec się im zachciało, ziemię gryzą gdzieś teraz, paru w więzieniu czeka na proces...

Zachnął się. Co go to w końcu obchodzi? Ci nie nie wiedzą, nie wysypia go, a skoro się im chciało grać z ogniem, niech teraz bronią własnej głowy. On im i tak nie mógłby pomóc. Trzeba myśleć o sobie... Tego Pędzika mianowali pełniącym obowiązki komendanta milicji. Już to lepiej mogli pomyśleć. Co taki były sierżant poradzi? Wielkie miasto, nie na jego głowę. Choć szpila to on jest, lubi sapać. W młynie był parę razy, wszędzie wsadzał swój nos, weszły coś, z Marcinkiem pogadywał. I guzik się wywiadał. Nie sam Pędzik najgorszy... Tamten. Zie go tutaj pewnie przyniosło.

Oczy mu zabłysły nadzieją. A może to omyłka? Mroczno już było, tłum odpływał z wielkiej, nieodremontowanej do końca sali kinowej, gdzie odbyła się akademія i powołanie rad narodowych. Zaroiło się na ulicach, a już najbardziej w knajpach. Licho go skusiło, aby zająć do Młynarka. Na krótko, głupie dwie setki, zamysłał przecie zajrzeć do Wiktor, coś się mu ta Christine buntuje, prosił stryj, żeby pogadać z nią... I wtedy do sali wszedł tamten. Niby on, niby nie on. W końcu parę razy się tylko zetknęli, zaraz później zainteresowała się jego ciemnym gestapo. Czasem jednak tak bywa, że czyjaś twarz, choć widziana przelotnie, trwałe zostaje w pamięci. Jak i tutaj. Więc pewnie on.

Jakby go nożem pchnął ktoś pomiędzy zębra. Siedział z Młynarkiem, restaurator z szacunkiem odnosił się do właściciela młyna, było nie było,

te parę woreczków tygodniowo na prywatny wypiek, poza przydziałem, bardzo się przydawały i nagle zapomniał języka w gębę, a głowę opuścił nisko nad stół. Aż Młynarek zadziwił się, zapytał, czy może nie chore, bo jeśli tak, dobrze by jedną dwustugramową z pieprzem... Wymówił się jakoś, chyłkiem wyniósł się z sali. Nie zamierzał już nawet iść do Wiktor...

Może nic by się więcej nie stało, tamten mógł przelotem tylko znaleźć się w mieście. Pech chciał, że zaraz za drzwiami, jeszcze pod tą żarówką nad wejściem, obok szyldu głoszącego, że restauracja i dancing, zderzył się nieomal z tym drugim. Tego już nie znał zupełnie... Ale tamten musiał go znać. Zatrzymał się zdumiony, oczyma zamrużył. I zaraz złapał za ramię, zasepeni, choć nie wyglądał na podpitego:

— Zaraz, zaraz, czy my się nie znamy? Pan z lubelskiego?

— Skądże, kolego, ja ze Lwowa. A co takiego?

— Nic, nic, coś mi gęba znajoma, choć sobie nie mogę przypomnieć, skąd... Przepraszam, podobieństwo widać tylko, nic więcej...

— Witam pana młynarza — usłyszeli z boku czyjś głos.

Diabli nadali Feryckiego, zawsze gówniarz wyrasta tam, gdzie go nikt nie siał.

Jakże sadił wtedy bocznymi drogami do siebie, do młyna. Zaczęła się bezsenna noc, niepokój, wrastające podniecenie i złość, i żałość, i pasja. Nie ma co się ludzić, to nie była omyłka. Tamci go znają. Rzecz teraz w tym, czy uświadomić sobie, czy skojarzą fakty, czy zacząć go szukać? Może tak, a może i nie. Bo w końcu też nie muszą być pewni. Sporo już czasu minęło, zmienił się też wygląd człowieka...

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Eugeniusz Pauksza

W witrynie PIW-u

Sporo tu przede wszystkim pozycji krytycznych. Potężny tom publikuje Ryszard Matuszewski, w „Doświadczeniach i miatach”, zbierając w usystematyzowanych działach swoje wypowiedzi i wnioski o literaturze polskiej ostatniego okresu, przedrukując także niektóre recenzje, to znów kiedy indziej próbując z nowego punktu widzenia osadzić literaturę „tamtego” dwudziestolecia. Cenne są zwłaszcza rozprawy i eseje o „pięknej sztuce poezji”, dużo dają do zastanowienia prace o warsztacie krytyki, jak też analiza sytuacji w naszej „szkole krytyki”. Dużo tu nowych osądów, wśród nich na pewno i kontrowersyjne.

W roku szekspirowskim nasze „szekspiriana” wzbogaciła nowa praca Stanisława Helsztyńskiego, zajmująca się dziełem „człowieka ze Straffordu” od kilkudziesięciu lat. „Moje szekspiriana” to wybór szkiców krytycznych, których intencja jest pragnienie „mocnego osadzenia Szekspira w realiach i konwencjach jego własnej, renesansowej, elżbietańskiej epoki”. Entuzjastów Tadeusza Żeleńskiego [Boy'a] ucieszy wiadomość, iż w serii

„Pism” jego ukazał się obecnie nowy tom „Flirtu z Melpomeną”, zawierający „wieczory siódmy i ósmy”, z recenzjami teatralnymi z lat 1925—1928. Jak zawsze, masa satysfakcji z wcale nieprzedawnionej lektury.

A teraz niewielki, ale gątkunkowo sporo ważący tomik wspomnień. Autorem jest Jacek Frühling, świetny tłumacz i znany recenzent teatralny, urocza przy tym postać, wspaniały gawędziarz. „W moim kalejdoskopie” Frühling zarówno wspomina najmłodszą swoją latą, jak przechodząc do czasów późniejszych, aż po lata ostatnie, wypunktował szczególnie te momenty, czy te sylwetki wybitnych ludzi, z którymi się zetknął, a które silnie od innych zapadły mu w pamięć. Dużo tu ciepła i uśmiechu, tak typowych dla autora, ale trafia się też niejedno ziarno gorczy, zabłyśnięcie czasem potężna szpila złośliwości. Dobrze, że jest i ta ciepła nutka i ta pikanteria, anegdota obok relacji, ploteczka obok prawdy. Takie wspomnienia czytelnik się najchętniej.

Ładny jubileusz, bo dziesiątego wydania, świętuje w pięknej edycji uroczą, bliską wszystkim chyba pokoleniom książka Jana Parandowskiego „Dysk olimpijski”, w roku olimpiady łódzkiej sięgająca w przeszłość I grzysek, przypominająca ich dawne znaczenie, a zarazem w formie ciekawie skonstruowanej opowieści odsła-

nijająca życie dawnych bożyszczyk stadionu.

A teraz, bibliofile, uwaga! W tak zwanej „celofanowej” serii poetyckiej ukazały się „Wiersze wybrane” Ignacego Krasickiego, z kapitalnym wstępem i w wyborze Jana Kořa. Oto jak zaczyna Kořa urocz, pełen erudycji, a zarazem musujaco lekki esej swój o „Księciu poetów”, „Najbardziej lubił czekoladę. W każdym razie ze wszystkich spraw tego świata najczęściej w listach Krasickiego mowa jest o czekoladzie...”. Prawda, że to urocz?

I ostatnia na dziś z nowości PIW-u. Powieść lekarza z zawodu, debiutanta w literaturze, Zbigniewa Łapińskiego „Flirt z medycyną”. Temat atrakcyjny: życie lekarza w małym mieście, nawał pracy, odpowiedzialność, trudność, niejedne wewnętrzne konflikty, a zarazem obok czy równoległe kłótnie, swary, paskudne zawiści koleżanów, tzw. środowiska. Książka bardzo realistyczna, od razu się czuje jak niewiele tu fikcji literackiej, jak bardzo samo życie podpowiadało autorowi. I ta wierność realiów jest na pewno szczególnie cennym atutem książki Łapińskiego, napisanej przy tym ze swadą i polem.

Z książką na ty



W PRYZMACIE BUDŻETU

Problemom i zadaniom gospodarczym 1965 roku poświęca artykuł Marian Krzak na łamach „Życia Gospodarczego”. Analizując zamierzenia przyszłoroczne autor dochodzi do wniosku, że budżet będzie zrównoważony. Przewaga dochodów nad wydatkami wynosi 2,6 mld. zł, ponadto budżet zawiera około 4 mld. zł środków rezerwowych. Plan zapewnia też z obu stron pełną równowagę finansową.

„Jest rzeczą nader istotną, aby tak zapewnionej równowadze finansowej — pisze autor — towarzyszyło umocnienie równowagi rynkowej, a zwłaszcza tzw. równowagi odcinkowej, w postaci rytmicznych, zgodnych z założeniami planowymi, dostaw towarów na rynek.”

SPÓR O POLITYKĘ WĘGLOWĄ

Wbrew przewidywaniom węgiel robi nadal karierę. Nie zastępuje go bowiem w pełni np. ropa naftowa czy inne paliwa. W całym świecie przewiduje się w najbliższych latach wzrost wydobycia węgla. Tej tendencji powinno się podporządkować i nasze opanowanie węgla, które jest bodaj jedynym, a na pewno jednym poważnym przemysłem realizującym obecny plan 5-letni ze znacznym wyprzedzeniem. Oto główna teza artykułu Zygmunta Szelińskiego w „Polityce”.

„Aktualne założenia przyszłego planu — stwierdza autor — przewidują osiągnięcie w roku 1970

poziomu wydobycia 129 mln. ton. Minister Mitręga na II Plenum KC PZPR zaproponował ustalenie wyższych zadań. Prawie 133 mln. ton w roku 1970 i około 13 mln. ton więcej w okresie całego 5-lecia. Wydaje się, że te propozycje są bardziej zbliżone do realnej oceny sytuacji, bilansu krajowego i możliwości i potrzeb eksportowych.”

PROGRAM DLA OŚMIU MILIONÓW

Takim tytułem opatrzyła „Kultura” dyskusję redakcyjną z udziałem Prezesa Komitetu do spraw Radia i Telewizji — Włodzimierza Sokorskiego, dyrektora programowego Stanisława Bębena i naczelnego redaktora programów artystycznych TV — Stanisława Kuszewskiego. W dyskusji padło wiele ciekawych stwierdzeń przede wszystkim dla widzów. Kierownictwo naszej TV zdaje sobie sprawę ze słabości programów, zwłaszcza publicystycznych. Wyjaśnia trudności, wśród których dominują techniczne no i materialne. One właśnie są powodem paradoksalnego na pozór zjawiska: rosnącej fali krytyki i bezspornego dla bezstronnych obserwatorów rozwoju programu telewizyjnego.

SKŁADKI, SKŁADKI...

Przed 3 tygodniami sygnalizowaliśmy na tym miejscu zainicjowanie przez „Głos Nauczycielski” dyskusji na temat składek szkolnych. Obecnie redakcja w oparciu o liczne listy swych Czytelników podsumowuje tę dyskusję. Padły w niej istotne i ważne stwierdzenia. Dlatego warto, by zdaniem nauczycieli na temat składek szkolnych znali nie tylko Czytelnicy „Głosu Nauczycielskiego”. Powołując się na zarządzenie Ministra Oświaty z 1960 roku tygodnik stwierdza, iż rodzice zobo-

wiązani są płacić na Komitet Rodzicielski, ile sami deklarują, a kwestia ich społecznej postawy jest, czy zadeklarowane kwoty będą odpowiednio do ich zarobków i możliwości.

„Zadaniem nauczycieli powinno być m. in. — czytamy — właściwe przeprowadzenie pracy uświadamiającej i wyjaśniającej oraz dopilnowanie, aby supergorliwi, a przy tym dobrze sytuowani rodzice, nie wywierali nacisku na cały zespół w kierunku deklarowania sum przekraczających możliwości większości rodziców.”

W swoich listach do „Głosu Nauczycielskiego” Czytelnicy poruszyli także sprawę prezentów ofiarowywanych nauczycielom. Oto opinia jednego z nauczycieli:

„Z przykrością trzeba stwierdzić, że „wdzięczność” dla nauczycieli objawia się nader często w postaci materialnej. Ponoszą tu winę i sami obdarowani, gdyż nie chcą o tych sprawach mówić z wychowankami i rodzicami, nie chcą im wskazywać, jakie są dopuszczalne granice wdzięczności.”

„Przyjmowanie prezentów — pisze inny nauczyciel — jest niedopuszczalne. Wytworzyła się tradycja, że na imieniny trzeba koniecznie coś ofiarować, bo inaczej nie wypada. To jest złą tradycją. U podstaw składania życzeń i w ostateczności — kwiatków, musi leżeć nieklamana, szczerza sympatia klasy do nauczyciela.”

„Fakt przyjmowania darów rzuci cień na nauczyciela” — pisze inny Czytelnik.

POGWARKI NA ROZDROŻACH

Prof. dr Tadeusz Kofarbiński rozpoczyna na łamach „Życia Literackiego” cykl cotygodniowych felietonów zatytułowanych „Pogwarki na rozdro-

żach”. W pierwszym z nich, potraktowanym jako słowo wstępne, uczony wyjaśnia, iż tematem jego rozważań będzie pytanie wielokierunkowe: powiązane z całością problemów życiowych: jakim drogami można iść przez życie radośnie?

★

Ponadto w „Tygodniku Demokratycznym” Deputata Majewska zastanawia się nad przyszłością prywatnej praktyki lekarzy uzasadniając ją potrzebą słabościom społecznej służby zdrowia. W „Tygodniku Kulturalnym” Leszek Bakula drukuje reportaż pt. „Byłem obrońcą”; autor bronił przed Komisją Dyscyplinarną swego kolegę w procesie świadectwu, iż zarzuty wysuwane przeciwko niemu są nieuzasadnione; w wyniku tych starań wyrok skazujący, wydany przez Komisję Dyscyplinarną, został w Warszawie (dopiero po odwołaniu) uchylony, ale za to obrońca został pozwany przed Komisją Dyscyplinarną jako oskarżyciel.

Tygodnik „ITD” artykułem Janusza Budzyskiego „Starty i... falstarty” rozpoczyna dyskusję nt. wychowania fizycznego i sportu w wyższych uczelniach. „Prawo i Życie” zamieszcza dyskusję z kolei artykułu Marii Osiałacz nt. procesu przeciwko uczestnikom afery mięsnej pt. „Porządni ludzie”. „Walka Młodych” zamieszcza krytyczny artykuł Jerzego Kochańskiego o obowiązujących obecnie podręcznikach szkolnych do nauki o Polsce i świecie współczesnym: „Elementarz dla a — e?”, „Służba Zdrowia” ogłasza listę laureatów konkursu „Moje 20-lecie”; dwie II nagrody (pierwszej nie przyznano) otrzymał dr J. Matuszewska-Pnińska z Łodzi i dr St. Sterkowicz z Łoborka. Jedno z kilku wyróżnień otrzymała Joanna z Kalisza — Barbara Krawiec. Gratulujemy.

LEKTOR